

Rynek zajebał sztukę
z Katarzyną Kozyrą
rozmawia Joanna Ruszczyk

Dolny Mokotów. Ulica Bukowa. Stary dom. Remont. Taras. Ogród.

K.K.: Katarzyna Kozyra: Non stop budują, a potem sprzedają te domy... Ten mój ma 30 lat i ten tu, a te wszystkie wokoło to nawet nie wiem, kiedy stanęły... To jakaś choroba tutaj. Kupują, burzą i stawiają kolejne. Jeszcze brzydsze i jeszcze większe. Tak, żeby przypadkiem nie zostawić kawałka trawnika.

Joanna Ruszczyk: I wysoki mur koniecznie.

K.K.: Ja bym się cieszyła, gdyby sobie stawiali bardzo wysokie, żeby nie było widać tych domów (śmiejąc).

J.R.: Tutaj ma siedzibę fundacja, którą niedawno założyłaś?

K.K.: Na razie tak. Fundacja z dziewczynami dla dziewczyn. Będziemy robić wystawy o tym, co robią laski. Żeby były widzialne, słyszalne i mogły dawać opinie w palących sprawach, na które, w zasadzie, tylko faceci się wypowiadają. Polityka, mentorstwo to przecież domena facetów. To, co robią faceci, jest więcej warte w naszej kulturze niż praca kobiet. To wiadomo przecież. Kobieta na tym samym stanowisku zarabia 2/3. Aż wstyd o tym ciągle mówić, bo to się robi nudne. Już nie chcę słyszeć o sekretarkach, asystentkach... O dziewczynach, które swoją energię, wytrwałość, obowiązkowość oddają facetom, bo inaczej się nie sprawdzą. Nie mają szansy, bo nie ma takiej struktury zbudowanej. Nie jest na równo. A 50% każdego społeczeństwa, k a ż d e g o, to są kobiety. Rzygać się chce, że trzeba ciągle o tym mówić i tym zadziwiać. Ja już bym chciała przejść na kolejny etap. Wiadomo to i trzeba coś z tym zrobić. I faceci, i baby coś z tym muszą zrobić. Faceci już wiele nie wniosą z tym swoim mózgiem.

J.R.: Ale jesteś cięta na facetów.

K.K.: A co? Dobrze jest?

J.R.: No tak... Pewnie z 70 % polityków to faceci.

K.K.: Więcej! A jak jest tam laska, to się spotyka z seksistowskimi tekstami – całuję rączki itd. W Polsce zwłaszcza, ale nie tylko. W Stanach aż głupio: jak mieli wybrać między Murzynem a kobietą, wybrali Murzyna. Ludzie wątpią: jak kobiety dojdą do władzy, to niby będzie lepiej? Albo: co ma być lepiej? Ale nawet spróbować nie chcą. Faceci! Są zapatrzeni w siebie. Mają rozdęte ego, które kompletnie nie jest adekwatne do tego, co sobą prezentują. A najgorsze jest to, że baby powinny się wspierać, a nie wygryzać nawzajem i konkurować o tę mniejszą przestrzeń, która jest im dana. A one jeszcze sobie dokładają i tym wspierają facetów! Niechby te laski przestały się wygryzać! Powstają niesamowite grupy – Katharina Grosse prowadzi w Berlinie spotkania kobiet, które coś osiągnęły w różnych dziedzinach. Spotykają się naukowczynie, profesorki medycyny, babki z telewizji, teatru... Opowiadają sobie, z czym się spotkały, wymieniają doświadczenia. Takie grupy wsparcia.

J.R.: Może zrobić coś takiego w Warszawie?

K.K.: U nas wszystko jest w jakiś sposób wypaczone. Babki z Instytutu Austriackiego czy Niemieckiego – nie pamiętam – coś takiego zorganizowały. Nie wyszło. Tu naprawdę jest to „wygryzanie”. Cholera. Jak komuś dopierdolą, to najpierw babie. Baba babie! Nie facetowi. To niesamowite.

J.R.: Z autopsji to znasz?

K.K.: Oczywiście, że tak.

J.R.: Jest ci trudniej jako kobiecie? Sztuka to jednak środowisko świadome, otwarte...

K.K.: Niby tak, ale jak weźmiesz listy wystaw, rankingi, to na dziesięciu facetów jest jedna kobieta. Nie wchodząc głębiej, tylko w statystyki. Zwyczajne, zasrane statystyki! Komisje, profesorstwa... Na Akademii Sztuk Pięknych wykładają faceci, dziewczyny są ewentualnie asystentkami. Pewnie z 70% studentów to kobiety, a 90% kadry to faceci. To nie jest OK. Nie można ciągle

na jedno kopyto. To podawanie sobie pateczki w sztafecie, faceci facetom. I młodzi faceci przyjmują to jako coś naturalnego. Myślą: po prostu jestem lepszy. Nie widzą tego. Jak czegoś nie widzisz, to to cię nie dotyczy. Nikt nie odda przywilejów ot tak. Widziałaś coś takiego kiedyś?!

J.R.: Co robić?

K.K.: Mieć świadomość, że zmiana jest dobra dla wszystkich. Potrzebny jest inny sposób myślenia, a kobiety myślą inaczej. Dość tego oportunistów. Gdybym nie była laską, to by się na mnie tak nie rzucili z pazurami przy Piramidzie. Młoda, debiutująca, słaba... Co to za ryzyko? Prasa sobie zrobiła jatkę. Mogę głowę położyć na pieniek, że gdybym była facetem, to by tak się na mnie nie rzucili.

J.R.: Jak wspominasz czas Piramidy? Początek lat 90.

K.K.: Długo się broniłam przed tą wystawą w CSW (British British Polish Polish – sztuka krańców Europy długich lat 90. i dziś – przyp. J.R.), przed powrotem do tych czasów. Piramida utorowała drogę przez media do ludzi. Oni się wtedy dowiedzieli, że jest coś takiego, jak sztuka współczesna. Ja się mogę zżymać, że to było wypaczone, że ludzie dostawali to za pośrednictwem mediów, które mnie po rynsztokach włożyły i nazywały skandalistką, bez szacunku, ale sztuka zaistniała wtedy w świadomości. To były czasy hardkorowe. Czas bezprawia, bez ustalonych granic. Dezorganizacja wszystkiego. Dicz. Pamiętam, jak do szpitala się nie mogłam dodzwonić, bo firmy ludzie rozkręcali na aparacie publicznym. Kupię, sprzedam, zamów... To był total, co się działo. Z jednej strony ten czas dawał wolność twórczą – nie było żadnej cenzury, a z drugiej ci wrażliwsi, słabsi szli pod nóż. Ale teraz myślę, że to był niesamowity czas ze względu na to zawieszenie: stare odchodzi, nowe przychodzi i nikt tego nie rozumie. To było inspirujące. Wszystko wydawało się możliwe.

J.R.: Nie założyłaś żadnego biznesu? O życiu ze sztuki nikt wtedy chyba nie myślał. Nie było rynku sztuki.

K.K.: To dom rodziców, ja się tak nie dorobiłam (śmiech). Był przez lata wynajęty, dzięki temu nie musiałam iść do pracy po studiach, miałam kasę na życie. No i byłam na rencie chorobowej. 30-letnia rencistka! Nowotwór węzłów chłonnych. Wtedy to było już na tyle opanowane, że szanse były duże na wyzdrowienie, ale to było jednak ogromne obciążenie. Chemia... Żyłam jak pies na smyczy, mogłam się poruszać tylko wokół własnej dupy. Nie mogłam nigdzie wyjechać, musiałam być pod obserwacją. Nie miałam głowy do interesów i nie mam. Choć prawdopodobnie byłabym dobra, bo trzeba być twórczym, żeby zrobić dobry biznes. W latach 90. było sporo ludzi, którzy twórczo do tego podchodzili, niesamowite biznesy rozkręcali i mogliby zająć dalej, ale kapitału im brakowało, bo państwo nie wspierało. Wspierało tych z zewnątrz. Nie mamy żadnej tradycji prowadzenia biznesu w Polsce. Zawsze mieszczaństwo było niszczone. Jakiś był biznes w tym, żeby nie dopuścić klasy średniej. U nas każdy był szlachcą, panem-chamem, etyka zarabiania pieniędzy się nie zrodziła. A teraz też mamy straszne czasy. Wszystko na sprzedaż. Chory system wartości. Oczywistości zanikają: że rzeka nie jest prywatna, chmura nie jest. No i kryzys.

J.R.: Chyba trochę podkreśloni.

K.K.: Już nie. Dałam ogłoszenie, że szukam ludzi do pomocy w ogrodzie i w ciągu siedmiu minut zadzwoniło 70 osób. A nie była to jakaś duża stawka: 15 zł za godzinę.

J.R.: Piękny ogród. Jesteś ogrodniczką!?

K.K.: Nigdy nie miałam kontaktu z ziemią, rolnictwem. Dlatego mi tak teraz odwalilo. Odkrywam to. Uwielbiam robić kompost (przy starej drewnitni w końcu ogrodu dziura zakryta deską, Kozyra odkrywa ją, wrzuca kilka wiader popsutych warzyw i owoców, spryskuje). Biorę z warzywniaka. Wyobraź sobie, że wyrzucają codziennie trzy razy tyle. A ta butla, to efektywne mikro-

organizmy. Odkryłam je dwa lata temu. Jakiś Japończyk to wymyślił, kiedy zaczęły drzewa święte zdychać. Zakiszam to, jak ogórki. Tak się produkuje dwa, trzy razy więcej minerałów. Potem rośliny to zżerają, i dlatego tak rosną. Azjaci myślisz, że głupi są, że piklują? To jest cholernie zdrowe! (w ogrodzie soneczniki jak drzewa). Na razie jestem pod wrażeniem, że to tak działa. Ale jak już wyczerpię temat, poznamco przestanę mi się to kalkulować, przestanę być wyzwaniem – natychmiast sobie dam z tym spokój.

J.R.: Teraz ekologiczne jedzenie jest modne. Targi, stoiska w knajpach. Tylko trochę to drogie... Jak nie masz pieniędzy, to nie pojesz. Zostają supermarkety.

K.K.: Albo własny ogród. Ale bardzo dobrze, że taka moda! Mam nadzieję, że nie przyjdzie kolejna i się nie zaczną lansować inaczej (Kozyra łapie za topatę i szatkuje wrzucone do dziury odpady). Im drobniej, tym szybciej się rozkłada. I tak codziennie. Dom wariatów, co? Czasem myślę, że mnie porąbało. (Kozyra myje wiadra i podlewa kwiaty).

J.R.: Używasz deszczówki?

K.K.: Do podlewania roślin. 1000 litrów napętnia się w jeden dzień, jak pada. Oszczędność wody. Zobacz, tu i tam się zbiera. Tylko żeby nie wyszła na jakąś emerytkę... Projekt Ogród konkuruje z Jezusem, moją nową pracą.

J.R.: Skąd pomysł, żeby szukać Jezusa? Znalazłaś? (Siadamy na tarasie).

K.K.: W Tel Awiwie robiłam casting do filmu autobiograficznego i tam pomyślałam: co ja siebie szukam?! Powinnam Jezusa znaleźć! Byłam w Jerozolimie kilka razy. Zainspirował mnie syndrom jerozolimski – pojęcie z psychologii, określenie zjawiska, kiedy ludziom wydaje się, że są Jezusem. Muszę jeszcze tam pojechać. Chcę dotrzeć do tych, którzy są w trakcie „choroby”, a to jest bardzo trudne, bo oni są hospitalizowani.

J.R.: Naprawdę myślą, że są Jezusem?

K.K.: Tak, to jest fenomen psychologiczny. Nagle cię coś takiego strzela i myślisz, że masz misję. Chcesz się dzielić tym z ludźmi. Słyszysz głosy, jesteś w kontakcie z „górami”. Kiedy się zapytałam jednego z nich, Koreańczyka: jaki ma kontakt z aniołem, to pokazał – o tak! i mocno mnie szturchnął. Każdy z nich jest inny. Jeden mieszka w parku i leczy ludzi. Ma pszczoły. Akupunktura. Spotkałam też faceta, który od siedmiu lat mieszka nad Morzem Martwym. Żywi się glonami, łapie wodę deszczową, ma dready, które zakrywają mu całą twarz. Jak mi się udało coś ciekawego powiedzieć, to odkrywał je jak frankę. Nosi tylko majtki i sznurki, takie brezenty na nogach – nosi je, bo chce zachować, zapamiętać swój naturalny kolor skóry. Mówi, że do życia potrzebny jest dziennie jeden daktyl i spirulina. Siedzi nad tym morzem, bo ciepło, nie potrzebuje energii, żeby ogrzać organizm. Inny facet zaanektował kurnik przemysłowy pod Jerozolimą. Przyjechał tam z Chicago, bo to jest prawdziwa Jerozolima – to archeologicznie udokumentowane, tam są pozostałości po żydowskiej świątyni.

J.R.: Szaleństwo.

K.K.: Ja wiem, czy takie szaleństwo? Wielu ludzi jest szalonych... Są różne barwy i odcienie szaleństwa. Ludzie, których tam poznałam, mają inną hierarchię wartości. Inny rodzaj życia wybierają, na innych poziomach funkcjonują. I pracują nad tym, żeby się na te inne poziomy wznosić.

J.R.: Traktujesz ich poważnie?

K.K.: To jest niesamowita próba na sobie. Bo masz wielkie oczekiwania, jaki powinien być Jezus, jak powinien wyglądać... Trzeba podchodzić z pokorą. Oni są wolni, nie należą do tego systemu. Są kompletnie nieuczesani tu (Kozyra pokazuje na głowę). Jak się z takimi indywidualnościami, tak mocnymi osobowościami, nie spotkałam. Przynajmniej nie w takich ilościach. Tęsknię do nich, chciałabym więcej takich ludzi spotykać. Ostatnio przestałam trochę tym żyć, bo zaczęłam żyć tym (Kozyra pokazuje na ogród).

J.R.: Żebyś schizofrenii nie dostała.

K.K.: Nie... Chociaż to nie jest chyba najgorsza opcja. Moja matka opiekuje się jednym facetem ze schizofrenią. Teraz on bierze ślub w tym innym życiu. Niesamowite. Ta nasza rzeczywistość to tylko jedna z możliwych. Ludzie zapominają, że jest wiele dróg i równoległych rzeczywistości, a to, że przeforsowało się, wybrało, wyewoluowało do tej, to jest prawdopodobnie przypadek. Teraz patrzysz się na mnie, jakbym była wariatem. To jest proste: jest masa rozwiązań, a ludziom się wydaje, że jest tylko jedno. To, czego jesteś nienauczona widzieć, tego nie widzisz! Myślę, że artyści mają największą szansę zahaczyć o to. Tylko kwestia języka – jak to przekazać? To jest dla mnie wyzwanie – niektórzy z Jezusów nie pozwalają się filmować. Ale wolę coś niedoskonałego, nieskończonego, niż te stare schematy. Wydaje mi się, że teraz sztuka na tym polega: na gotowych, bezpiecznych rozwiązaniach. Zardzewiałych. Jest format, nie ma miejsca na eksperyment. Lata 90. były bezkompromisowe. O coś wszystkim chodziło, też instytucjom – wystawiały mocne, trudne prace. Do głowy mi nie przyszło, że robię Piramidę, żeby ją zhandlować. Za dużo emocji, nerwów. Jest bardzo osobista, autentyczna.

J.R.: W pewnym sensie antyrynkowa: w jednym egzemplarzu. Na wystawie w CSW stała obok pracy Damiena Hirsta, który swoją wysadzaną diamentami czaszką za milion dolarów igrał z rynkiem sztuki.

K.K.: Piramida obok pracy Hirsta. Diabelski pomysł, ta wystawa. Tych Brytyjczyków – coś tak do bólu wytablowanego, gwiazdorów finansowych – wprowadzała w inny kontekst. Zostali użyci, są tłem dla polskich lat 90., kiedy nie było tego aspektu komercyjnego. Teraz ta nasza dziedzina to pranie brudnych pieniędzy. Te wartości wzięte znikąd. Pole do spekulacji, przekrętów, chory system.

J.R.: Ci co kupują są debilami?

K.K.: Nikt tu raczej nie jest debilem, bo każdy kręci swój interes i dlatego to wszystko się sementowało, trzyma kupy i nie sposób tego ruszyć. Rzesze ludzi mają robotę, władzę – bo to potworne pieniądze i zależności. Ile ludzi się pożywia tym!

J.R.: A instytucje państwowe?

K.K.: Dzisiaj instytucje kupują z rynku. Galerie komercyjne są pośrednikami między artystą a resztą. Wszystko jest zazębione. Silni rynkowo artyści mają pierwszeństwo. Rynek jest groźnym cenzorem i działa z impetem, także na instytucje. To wszystko jest ulepione i przyklepane. Jeśli są artyści, którzy coś ryzykują, jeśli powstają bezkompromisowe prace, to nie są wystawiane, bo są piaskiem w trybach. Wszystko musi być bezpieczne, wiadome. Tak samo jest ze sponsorami – nie dadzą kasy, bo jesteś wielkim artystą, muszą wiedzieć, co konkretnie zrobisz. Nie dostaniesz pieniędzy na to, co chcesz, a na to, na co są pieniądze.

J.R.: Tak też funkcjonuje trzeci sektor. Pieniądze państwowe, unijne... Jak jest kasa z Norwegii, to robisz...

K.K.: ...o reniferach. Jest Rok Chopinowski – piszesz balety. I to jest na wielką skalę i niewiele jest wyjątków. Przestrzeń sztuki łąpnięta. To już jest pusta skorupa. Wydmucha. Jak o coś chodzi, to żeby zostawić produkt do wstawienia do salonu. Pusta forma, tylko żeby się kręciło. Wystawa na Biennale w Wenecji w tym roku – The Encyclopedic Palace: wszystko, co jest tam pokazane można spokojnie wymienić na inne i nic się nie stanie. Jung robił rysunki – mandale – wystawione, jakiś chirurg dentysta coś kolekcjonował – wystawione. Artyści, którzy kiedyś robili na mnie wrażenie, w takim zestawieniu, to jest rzyg. I nasz rewolucjonista Artur Żmijewski wchodzi w tę restaurację i nie ma z tym problemu. W tej całej wyliczance: lekarz zbiera to, filozof rzeźbi... to i ślepy może malować – to jest praca Żmijewskiego. Tak spaczona! Wszystko, co jest indywidualne, twórcze zostało tam skasowane. Dawno czegoś takiego nie widziałam i nie

czułam takiego wstrętu i niechęci. To jest bezprecedensowe. W ogóle nie ma usprawiedliwienia, że to funkcjonuje. Musi się coś stać, bo to naprawdę nie ma sensu. Rynek zajebał sztukę.

J.R.: A ty co?

K.K.: Mnie się wydaje, że ja robię inaczej. Czy nie robię? Nie wiem, czy jeszcze można inaczej... Jezus – co to właściwie jest? Film? Instalacja? Sztuka czy dokument? Do tej pory nie wiem. Jak robiłam pierwszą odśłonę, to jedna z galerii miała problem, co z tym zrobić, bo to nie jest praca na sprzedaż. Obejrzeni, i mina im zredła. Gdyby wiedzieli, że to nie jest komercyjne, nie wystawiliby tego. Albo dorobiliby teorię. Jest dużo dorabiania teorii, żeby to się dało spieniężyć i ci wmawiają coś, czego ty, kurwa, wcale nie widzisz. Poza tym wszystkie moje projekty wymagają niesamowicie dużo czasu. Możesz przestać na początku, zatrzymać się na powierzchni i zająć czymś nowym. Możesz to pogłębić i widzisz, że ocean się przed tobą otwiera, i na tym etapie można skończyć.

J.R.: A można wskoczyć do oceanu. Wskoczyłaś?

K.K.: Jeszcze nie, ale byłoby głupotą zrezygnować teraz.

Warszawa, wrzesień 2013 roku

Joanna Ruszczyk, dziennikarka, współpracowniczka tygodnika Newsweek Polska, absolwentka Podyplomowych Muzealnych Studiów Kuratorskich na UJ, współzałożycielka Fundacji Sztucznej.